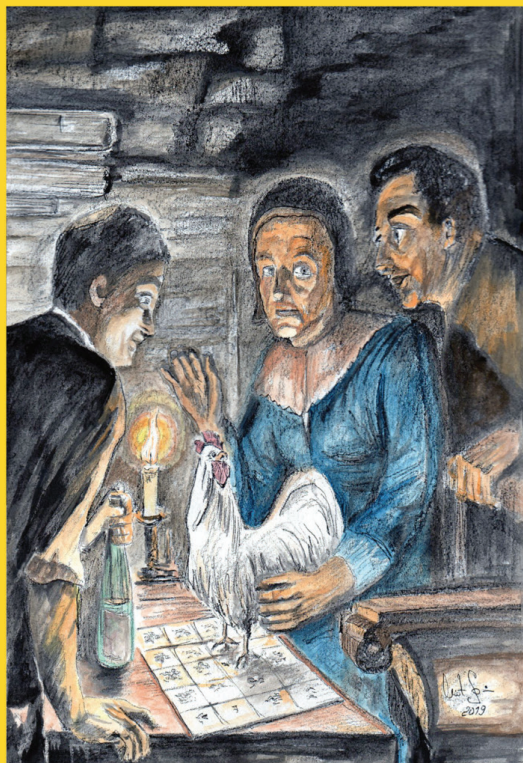




Juliusz Verne

Książ w roku 1839



ISBN 978-83-66268-14-2

Juliusz Verne

KSIĄDZ W ROKU 1839

Juliusz Verne



KSIĄDZ W ROKU 1839

Przełożył i przypisami opatrzył Krzysztof Jagusiak

**Sześćdziesiąta siódma publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Un Prêtre en 1839

© Copyright for the Polish translation
by Krzysztof Jagusiak, 2019

23 ilustracje, w tym 5 kart tablicowych kolorowych:
Damian Christ

© Copyright for the inside illustrations
by Damian Christ, 2019

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Korekta: Andrzej Zydorczak
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2019

ISBN 978-83-66268-14-2

Wstęp

Drodzy Czytelnicy!

Dzisiaj pragnę zabrać Was do Nantes, rodzinnego miasta Juliusza Verne'a, ale Nantes z pierwszej połowy XIX wieku, bardzo zróżnicowanego miasta, którego właśnie taki obraz pozostał w pamięci z dziecinnych lat autorowi *Tajemniczej wyspy*. Będziemy śledzić losy głównego bohatera Jules'a Deguaya, początkującego prawnika, jego najlepszego przyjaciela Michela Randeau, a także zupełnie przeciwnego im osobnika Pierre'a Hervégo. Jaki wpływ na ich dalsze postępowanie, na ich życie będą miały wydarzenia, do których doszło w Nantes w 1839 roku? Tego dowiemy się z kart tej powieści.

Ksiądz w roku 1839, pierwsza powieść Julka, napisana w latach 1846-1847, gdy pisarz miał zaledwie około dziewiętnastu lat, znacznie różni od jego późniejszych utworów, które przecież tak dobrze znamy i którymi nadal się zaczytujemy. Należy raczej do poprzedniej epoki i w swoim wydźwięku przypomina w gruncie rzeczy powieść gotycką, z jej prawie wszystkimi charakterystycznymi elementami. Niestety nie została dokończona. Została przerwana w momencie, gdy mogły się wyjaśnić przyczyny postępowania tytułowego księdza, czyli Pierre'a Hervégo, opisane w jego pamiętniku... Dalej już tylko Szanowny Czytelnik może, jeśli będzie tego chciał, dopowiedzieć sobie dalszy ciąg historii i poprowadzić akcję tak, jak będzie mu się podobało.

Utwór został odnaleziony w zbiorach spadkobierców Juliusza Verne'a, które zostały odkupione przez miasto Nantes. Po raz pierwszy ukazał się w *Manuskryptach nantejskich* w 1991 roku pod tytułem *Ksiądz w roku 1835*. We Francji po raz drugi jego poprawiona wersja, pod tytułem *Ksiądz w roku 1839* ukazała się w roku 1992 nakładem wydawnictwa *cherche midi*, z 26 ilustracjami Tardiego.

Pierwszy polski przekład został oparty na tym drugim wydaniu. Dołączono do niego ilustracje wykonane przez Damiana Christa. Mam nadzieję, że mimo wszelkich niedoskonałości tekstu, czasami zagmatwanej akcji, polscy Czytelnicy z zainteresowaniem zapoznają się z tą powieścią, gdyż będą mogli uzmysłowić sobie, jakie były początki sławy francuskiego powieściopisarza.

Andrzej Zydorczak

Pierwsza powieść pisarza – zwłaszcza kiedy zwiastuje ona doniosłą twórczość – bywa z wielu względów znacząca. Przede wszystkim prawie zawsze zawiera elementy autobiografii, co Czytelnikowi dostarcza wiedzy o osobowości autora. W jej treści napotka się też już pomysły, sytuacje, postacie, sceny, które odnajdziemy w późniejszych książkach, wprawdzie przystosowane, przekształcone, wzmocnione lub zredukowane, lecz przecież obecne. To trochę tak, jakby pisarz znaczył swą twórczość nieusuwalnym odciskiem własnej pieczęci. Powyższe uwagi stosują się w pełni do pierwszej, dotychczas niepublikowanej powieści Juliusza Verne'a Książd w roku 1839, którą mamy przyjemność oddać w ręce naszych Czytelników.

Akcja rozgrywa się w Nantes, rodzinnym mieście pisarza. Główny bohater, Jules Deguay, nosi imię autora i podobnie jak on jest początkującym prawnikiem. Wymieniony w tytule potępiony książd otwiera w twórczości Verne'a długi orszak postaci prześladowanych szaleństwem dominacji nad światem, jak kapitan Nemo lub Robur Zdobywca, by wymienić tylko ich... W książce tej znajdujemy też już kilka znaczących scen zaczerpniętych z rzeczywistego świata podlegającego ścisłemu i przedmiotowemu opisowi. Ten sposób prezentacji obecny będzie w całej twórczości Verne'a. Natomiast jeśli chodzi o wyobraźnię, to młody pisarz (miał wówczas zaledwie dziewiętnaście lat) dostarcza na nią tutaj bardzo wyrazistych dowodów.

Tym niemniej jego pierwsza powieść bliższa jest niektórym osiemnastowiecznym angielskim powieściom gotyckim lub francuskim przygodowym z dziewiętnastego wieku niż cyklowi Niezwykłych Podróży, który ugruntował sławę Verne'a. To zaskakuje. Nas również zaskoczyło to podczas pierwszego czytania rękopisu. Podobnej niespodzianki życzymy czytelnikom. Widać, że powieść jest niedokończona, tekst bywa zagramatwany, ale intryga jest wystarczająco spójna, by każdy mógł wymyślić zakończenie lub chociaż je sobie wyobrazić podług własnego rozumienia całości.

Wydawcy [wydawnictwo *cherche midi*]

Rozdział I

Stary kościół Świętego Mikołaja w Nantes – Tragiczne rekolekcje, na które zapowiedziany kaznodzieja nie przybywa – Cudowne uratowanie dziewczyny – Widmo czarownicy

Wieczorem dwunastego marca roku pańskiego 1839 nadpęknięty dzwon starego kościoła Świętego Mikołaja wzywał wiernych na wielkopostne rekolekcje. A nie działo się to w owych świętej pamięci czasach, gdy Karol Wielki¹ pisał:

*Si quis sacrum quadragesimale jejunium, pro despectu Christianitatis, contempserit et carnem comederit, morte moriatur; sed tamen consideretur à sacerdote ne fortè causâ necessitatis hoc cuilibet prove-niat et carnem comedat.*²

Wierni przybywali bardzo licznie, sława kaznodziei bowiem i nastrój zapadającego zmierzchu dodatkowo u jednych wzmagaly pobożność, a u innych skrywały obłudę poszanowania bliźniego. Rekolekcje były zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn. Cała parafia, powiększona o tłum przybyły z parafii sąsiedzkich, wślaczała się wymieszanyimi pobożnymi falami pod ciemny portyk³ kościoła Świętego Mikołaja.

¹ *Karol Wielki* (742 lub 747-814) – król Franków od 768 roku, święty cesarz rzymski od 800 roku; twórca rozległego imperium na zachodzie Europy; przywrócił tytuł cesarski po upadku cesarstwa zachodniorzymskiego.

² *Siquis sacrum...* (łac.) – Jeśli ktokolwiek znieważy Wielki Post i wzgardzi chrześcijańskimi prawami poprzez jedzenie mięsa, zasługuje na śmierć, jednakże niech kapłan sprawdzi, czy nie nastąpiło to z powodu wyższej konieczności – cytat z ogłoszonego w roku 789 przez władcę państwa Franków, króla (późniejszego cesarza) Karola Wielkiego zbioru praw (kapitularda) dotyczącego życia religijnego [przyp. J. Verne'a].

³ *Portyk* – zewnętrzna część budowli wysunięta ku przodowi albo wgłębiona, otwarta przynajmniej z jednej strony rzędem kolumn lub filarów, osłaniająca zwykle główne wejście.

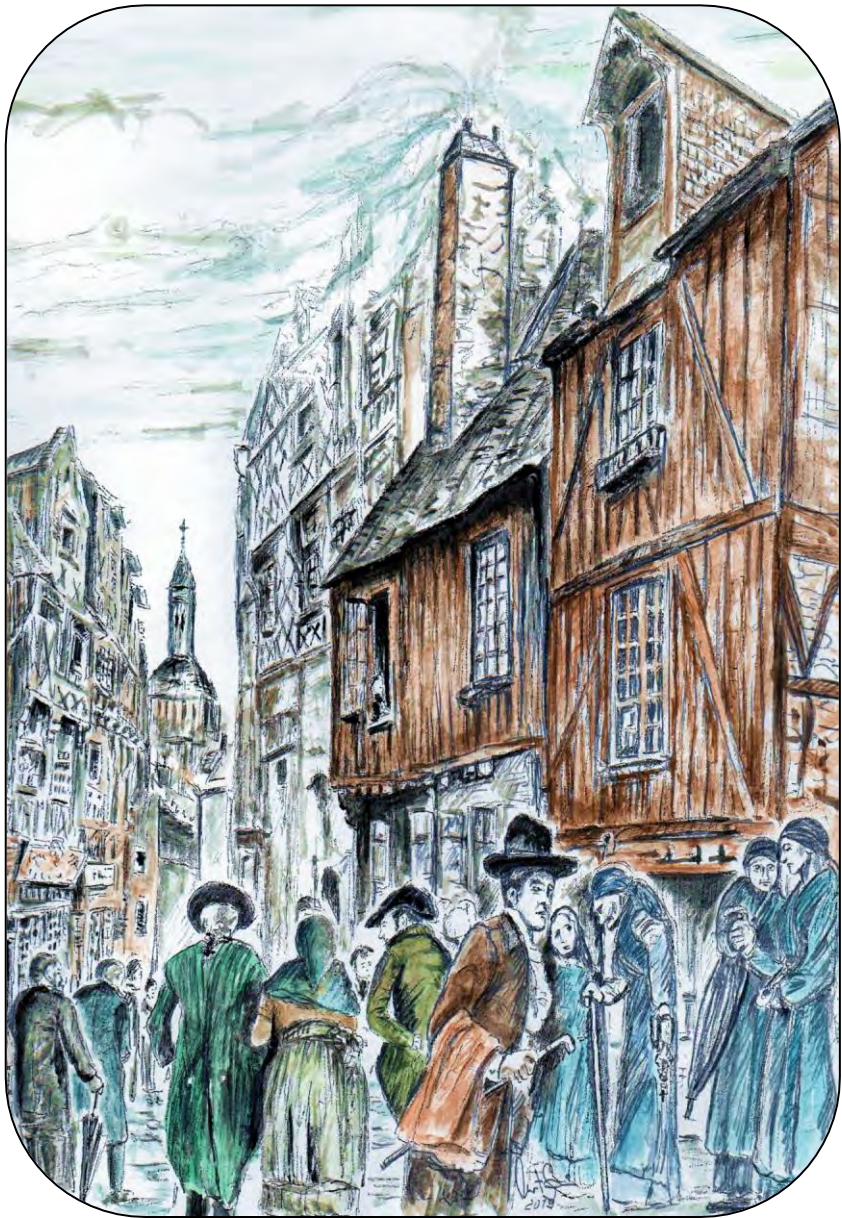
Była to bardzo stara budowla. Z pewnością pieczęć z epoki, w której ją wzniesiono, nie pozostawiła śladu na jej wielowiekowych, niszczących i zmęczonych murach. Panowała tam i rzucała się w oczy nieregularność. Niskie i ciężkie sklepienie przygniatało szeroki i grubo filar, rozplaszczony jak słoniowa noga, niedający się przypisać do żadnego porządku architektonicznego. Drugi filar, chudy i kościsty, prawdziwa kamienna trzcina, wraz z innym podobnym mu – przynajmniej co do wysokości – filarem wspierał rodzaj architrawy¹, będącego przeciwległą pierwszemu filarowi podstawą wspomnianego sklepienia. Pozostałe narożniki stropu podtrzymywały niemniej zdeformowane kamienne konstrukcje.

Przedłużeniem sklepienia z litego kamienia było sklepienie drewniane, wspierające się na konstrukcji z belek przyozdobionych inkrustacjami, przycięciami, wycięciami i rzeźbami tysięcy figurek pozbawionych jakiegokolwiek regularności. Widziało się głowę potwora z rozplaszczonym nosem, ohydnie otwartą gębą wypełnioną nieludzkimi kłami, z najeżonymi włosami, pokręconymi i wzniesionymi, a zarazem wygładzonymi i przyklepanymi, słowem: hybridową fryzurę, której stylu nie byłby w stanie określić nawet najbieglejszy w swej sztuce nowoczesny perukarz. Tuż obok ukazywała głowa cherubina przerażonego okropną twarzą potwora i płaczącego ze strachu (talent rzeźbiarza potrafił bowiem wydobyć z drewna łyzy). Spłątane z sobą elementy konstrukcji wyglądały niczym las pokrzywionych drzew, wzajemnie powiązanych, splecionych, połączonych i zespolonych. Oko widziało tam jedynie nieład, mieszaninę i chaos. W jednym miejscu spostrzegało głowę maskarona² a w innym – łeb morskiej ryby wyrzeźbiony na jednej ze wspierających belek.

W ową niewiarygodną strukturę wpisywała się cała historia architektury. Widziało się tam prymitywną konstrukcję szkieletową

¹ *Architraw* – główna belka budowli, w architekturze antycznej spoczywająca na kolumnach; podtrzymuje fryz lub dach.

² *Maskaron* – stosowany w rzeźbie architektonicznej dekoracyjny element w kształcie zdeformowanej głowy; w oryginale francuskim autor pisze o gargulcu lecz te zwieńczały wyłoty rynien i znajdowały się na zewnątrz budowli.



Wierni przybywali bardzo licznie.

z ledwo ociosanymi belami, w jednych miejscach wydrążonymi, w innych – nierównymi i sękatymi. Gdzieś tam jakaś przypora niezręcznie i niezgrabnie wspierała olbrzymi kloc, który z powodu swej grubości i nacisku miał czynić budowlę stabilniejszą, bardziej zwartą i solidniejszą, groził jej zawaleniem z powodu swej wagi.

Kiedy ten ogromny montaż zaczął opadać, wzmacniano go, podnoszono, podtrzymywano i mocowano nowymi szkieletowymi konstrukcjami nakładającymi się jedne na drugie. Mury starego i chyłącego się ku upadkowi budynku gniecione ową gigantyczną bezkształtną masą zdawały się słabnąć i ustępować pod ich olbrzymim, przytłaczającym ciężarem.

Szkieletowa konstrukcja, podtrzymując kilka zadaszeń, które zastępowały sklepienia, zmierzała dalej w ciemną głębię starej dzwonnicy. W jej wysokich, spękanych i zbutwiałych wnękach zatracały się niezliczone szczegóły drewnianej struktury, owa mnogość przedziałów i zazębień. Postawiona w pierwszym z brzegu miejscu dzwonnica smutnie wznosiła w zadymionym powietrzu, które czerniło ją każdego dnia, swe pokrycie z łupku dachowego¹.

Sanktuarium zdawało się kompletnie opuszczone. W tym świętym domostwie zamieszkiwał tylko jeden dzwon, który przez długi czas królował okolicznym dzwonnicom, długi czas obdarzał uczuciem, pocieszał i urzekał jakiegoś starego zakrystiana, kołyszącego się przy jego niedzielnych dźwiękach. Na wszystko jednak przychodzi kres i podupadła parafia zmuszona została nakazać ciszę staremu przyjacielowi. Rzeźbione głowy, które wsuwały się do wnętrza dzwonnicy, ze smutkiem i apatią patrzyły na zezarzałego mieszkańca dźwiękowej wieży. Tymczasem on, cichy, niemy, nieszczęśliwy, pojękiwał już tylko od czasu do czasu i swym złamanym, drżącym, wzdychającym głosem wzywał na jakąś mszę czytaną lub ubogi pogrzeb. Jeśli odezwał się w niedzielę, to jakże nieśmiało jego zniszczony, słaby, wątkły i cierpki dźwięk wznosił się podczas ogłuszającego, grzmiącego i rezonującego koncertu, jaki urządzały pełne wdzięku i życia, wypiełgowane dzwony pobliskich parafii.

¹ *Łupek dachowy* – kamienne naturalne płytki używane do pokrycia dachu.

Ach! To były piękne czasy, gdy stara konstrukcja, na której wisiał nasz biedny dzwon, trzeszczała i prężyła mięśnie w trakcie bujania się ich przyjaciela! Czasami delikatnie kołysany wzdychał, skarżąc się poważnie i melancholijnie, a poczciwi mieszczanie z tamtych czasów zatrzymywali się nieraz na niewielkim placu przed kościołem i upajali jego magicznym brzmieniem. Innym razem mocno rozhuśtany posyłał daleko oszałamiający strumień swych pospiesznych, dyszących i wyczerpanych dźwięków przenikliwego hałasu, który wprawiał w drżenie starą dzwonicę kościoła.

Zatem dzień, w którym zniszczony, opuszczony niczym stary inwalida dzwon odzyskał swoje dawne brzmienie, musiał być dniem wyjątkowym. Co takiego sprawiło, że zwarty, ciekawy i niemal zadumany tłum otaczał stary kościół, wkraczał doń i nań napierał?

W czasach, gdy regularność układu miasta nie stała się jeszcze jedną z życiowych potrzeb, ozdobę starego kościoła stanowił plac, o którym wspominałem. Dziś nie pozostał po nim nawet ślad.

Wtedy gdy plac istniał, iluż naszych przodków zatrzymywało się na nim przed wiekową budowlą, przyglądając się jej, analizując ją, obmacując wzrokiem, szperając w niej, badając, rozkładając ją i składając z powrotem. Zastanawiali się, męczyli i drapali po głowie, by odkryć: jedni – jaki był kształt tego budynku i do czego był podobny, drudzy – dlaczego cała jego konstrukcja jest tak niejednolita, inni – dlaczego dzwonnica znajduje się na boku kościoła, jeszcze inni – dlaczego dachy zarówno wysokie, jak i zaokrąglone oraz rozpłaszczone, ale też mansardowe i ostrołukowe przyozdabiają tę budowlę swym tysiącem różnorodnych, niespójnych i nieprzystających struktur? Nie rozumiano, że bez żadnego powodu można wznieść budynek, stosując tysiąc różnych rozwiązań konstrukcyjnych niczym z płaszcza arlekina! Te wszystkie odmienne elementy powiązane były z sobą żelazną armaturą poprzez wymuszane sposoby połączeń, których nie dało się ukryć. Nie było żadnych bezpośrednich linii, poziomych płaszczyzn, warstw budowanych według poziomnicy. W celu spojenia wszystkiego w całość należało lawirować, przycinać i ujmować, by włączyć taką lub inną krawędź, linię bądź płaszczyznę.

Zatem przodkowie nasi zatrzymywali się i zastanawiali, czemu to wszystko zostało tak spiętrzone, stłoczone i ułożone jedno na drugim.

My nie będziemy się tym zajmować, nas interesuje coś innego. Zresztą, żeby obejrzeć starą budowlę, wystarczy do niej wejść, a z zewnątrz – popatrzeć na nią z sąsiednich dachów.

Plac przestał istnieć, wypełniły go domy przylegające do siebie i opierające się o kościół. Domy, równie brzydkie jak on, naśladowały jego kontury i kształty, jego elementy obniżone, wstawione i wysunięte. Wzorowały się i kształtowały podług struktury starej sterty kamieni. Sprawiały wrażenie, że pragną schować to, co okropne. Toteż owe nieco nowsze budynki uformowane na podobieństwo starej struktury mogły zaoferować jedynie ohydne kryjówki, jamy, ponure nory, w których nieszczęśnik chował swą nędzę, złodziej rezultaty swego kunsztu, bandzior mordował zwabione tam ofiary, a upadła dziewczyna tała prostytutkę. Jakie siedziby, tacy mieszkańcy.

Tłum przybywał i mrowił się w ciasnych przejściach i mrocznych korytarzach, niepewnie rozjaśnianych oknami o zaplamionych, kolorowo pstrokatych szybach przypominających zaropiałe oczy.

Zwarta, ścieśniona ludzka masa, na ogół milcząc, tłoczyła się, potraçała, potykała, popychała i przewracała. Z łokciami do przodu i wzniesionymi głowami ludzie zapierali się na rozstawionych nogach, przypierali wzajemnie do muru, stąpali po stromych i zniszczonych stopniach zrujnowanych schodów. Dusząc się i cisnąc, raniąc dłonie o ostre ściany, postępowano powoli, raz wstępując, raz zstępując, krok w górę, krok w dół, a to dając się ponieść, a to będąc odepchniętym.

Jedyna istniejąca brama, niska i rozdzielona na dwa wejścia kamiennym filarem zwieńczonym oszpeconym posągim błogosławionego świętego Mikołaja¹, czyniła wstęp do wnętrza nad wyraz trudnym.

¹ *Święty Mikołaj* (Mikołaj z Miry, znany również jako Mikołaj z Bari) – święty w Kościele katolickim i prawosławnym; najstarsze przekazy o nim pochodzą z VI wieku; według średniowiecznej hagiografii żył na przełomie III i IV wieku, był biskupem Miry w Licji, wsławił się cudami oraz pomocą potrzebującym; przez wieki jeden z najbardziej czczonych świętych; największe jego sanktuarium znajduje się we włoskim Bari.

Prowadziły do niej dwie ciemne aleje. Pierwszą z nich, zatłoczoną i wypełnioną po brzegi, właśnie zaprezentowaliśmy. Druga wyglądała podobnie. Płynęły nimi dwa strumienie mężczyzn, kobiet i dzieci, złoczyńców, którzy lokują się w tłumie, złodziei, którzy najchętniej operują w ścisłości, i prostytutek, które tam zawsze mogą zarobić. Brzydka oliwna lampa o niepewnym płomieniu z bladym, pozbawionym odblasku, źle ustawionym lusterkiem ledwie oświetlała mroczny tłum, rzucając nań zamiast światła długi, brudny cień, i jeszcze bardziej czerzyła te stłoczone masy.

Tak oto kościół zapełniał się coraz bardziej. Krzesła, na w pół zespolone z sobą przez lepką i zimną wilgoć, były zniszczone, porożsuwane i przemieszczone. Wzrastał się głuchy szmer i panowało zamieszanie. Ciągłe narastające ożywienie rozprzestrzeniało się, wciskało w stare szczeliny i szpary w murach, brzęczało wokół spłaszczonych filarów, niosło podmuch życia i uczucie niecodziennej witalności. Dawne echa zbudzone w ciemnych siedzibach powtarzały i przedłużały ten milczący hałas niczym rzęzenie umierającego. Zaiste milczący, każda bowiem osoba zajmowała miejsce i lokowała się bez słowa, a jednak hałas błąkał się i skradał ze wszech stron, przebiegał pod mrocznymi arkadami obniżonych sklepień, czasem wprawiał w rezonans drżące witraże wiekowej świątyni.

Kościół ciągle się wypełniał, a tymczasem przylegające uliczki nadal nie pustoszały.

Dzwon nie przestawał bić i co chwilę wydawał suchy i wysoki dźwięk, ledwie słyszalny we wnętrzu kościoła. Natomiast na zewnątrz brzmiał najdźwięczniejszymi, przeciągłymi uderzeniami, jakby powrócił do czasów swej świetności i szczęścia.

W kościele dwóch mężczyzn uwieszonych u świszczącego elastycznego sznura rytmicznie się prostowało, pochylało, podnosiło i unosiło ku wielkiemu zdumieniu małych dzieci, które pragnęłyby też zakosztować radości tej chwalebnej gimnastyki.

Jakże cudowny był to dzień. Nieznany kaznodzieja, pielgrzym wracający z Ziemi Świętej, napotkawszy na swej drodze miasto Nantes, przybywał tu, by uważnym i ciekawym mieszkańcom opowiedzieć

o cudach miejsc świętych, o wspomnieniach z gór cierpienia i o wrażeniach doznanych w antycznej Judei¹.

Zatem słusznie z prawego i ujmującego powodu lud Nantes tak licznie się gromadził.

Ponadto w mieście nie znano tego księdza, przypuszczano zatem, że musiał być świętym. To podnosiło atrakcyjność wydarzenia, podwajało jego urok, a wszelkie widowisko prezentowane za darmo zawsze jest mile widziane przez ciekawską gawiedź.

Osoby, które jako pierwsze dostały się do miejsc siedzących, oczekując na rozpoczęcie rekolekcji, oddały się rozmowom stopniowo przechodzącym od pobożnych i bogobojnych tematów do spraw nader świeckich.

– To musi być coś pięknego – mówił Michel Randeau do swego przyjaciela Gustave’a Desperriera – taka podróż do Palestyny, do świątyń Pana. Jakże to uciążliwe być skazanym na ciągłe przebywanie w tym samym miejscu.

– Podobnie jak ty, zawsze chciałem tam pojechać – odparł Gustave – i nie uznaję życia za spełnione, dopóki tego nie dokonam, noszę się już nawet z pewnym zamiarem.

– A wiesz, ten święty kaznodzieja, który zechciał się tu zatrzymać, wędrując przez nasze miasto, jest godzien najwyższego uznania. Bardzo chciałbym go zobaczyć. Niestety, trzeba będzie jeszcze sporo poczekać, by zaspokoić naszą ciekawość.

– Faktycznie – podjął Gustave – jednak aby zająć dobre miejsce, lepiej było przyjść tutaj dużo wcześniej niż teraz! Nie wiem, jak poradziłbym sobie w tym tłumie. Jestem tu już od bardzo dawna. Ale wracając do kaznodziei, dlaczego właśnie tutaj będzie nauczał?

– Nie wiem, lecz trochę się niepokoję, bo umówiłem się z Jules’em Deguayem, a on się zawsze spóźnia i nie jestem pewny, czy uda mi się utrzymać dla niego siedzące miejsce.

– No tak, a to dlatego, że on za rzadko przychodzi do kościoła i nie wie, jak to się tutaj odbywa. On bodaj prowadzi wesolutki żywot?

¹ *Judea* – rzymska prowincja powstała w 6 r. n.e. po aneksji państwa Archelaosa, stopniowo objęła całość dawnego królestwa Heroda I Wielkiego.

Ileż ludzi! Ciągłe się obawiam, że ten ciężar gruchnie nam na głowę. Ludzki tłum szybko staje się Samsonem.

– Ach, widzę Jules’a! Na honor, rozdaje kuksańce i razy na prawo i lewo. Wszystkich sobie lekceważy. Ach, byłby przewrócić z tuzin osób!

– Spostrzegł nas. W rzeczy samej nic sobie z ludzi nie robi. O, zobacz, kościelny daje mu znaki, żeby się uspokoił.

– Tak, patrz z jakim szacunkiem i jak charakterystycznie to czyni.

Wreszcie po niezliczonych ciosach zadanych łokciem, stopą, pięścią, barkiem, a nawet plecami zmęczony, wygnieciony, najeżony Jules Deguay przekraczając, przeskakując, wspinając się i przeklinając, dotarł na miejsce dzielnie bronione przez jego przyjaciół.

– Co za suczy burdel! – brzmiały jego pierwsze słowa ku niezmiernemu zgorszeniu otaczających go osób, które odwróciły się od niego i przeżegnały. – Niech mnie powiesz na sznurze najwyżej umieszczonego dzwonu w dzielnicy, jeśli ponownie dam się namówić na takie męki dla posłuchania podobnych bredni. Czy trzeba będzie długo jeszcze czekać na waszego kaznodzieję?

– Nie, nie, słyhać już powtórne bicie dzwonu.

– Dziękuję! Uff! Wreszcie zaczynam oddychać. Co za grobowiec! Mówią, że nocą diabeł przechadza się tymi nawami. Nie chciałbym tutaj modlić się samotnie!

– A wiesz ty może, jako ostatni przybyły – spytał Michel – dlaczego ów kaznodzieja wybrał właśnie tę starą ruinę?

– A cóż mnie to obchodzi? Mam inne sprawy na głowie. Rozmyślałem o diable. Mówią, że od kilku dni słyhać nocą w dzwonnicy odgłosy młotków i pił, wbijanych kołków i wyciąganych gwoździ, jakby rozpoczęto jakieś stolarskie roboty. Duchy przychodzą naprawiać starą obudowę waszego dzwonu, żeby sprawdzić, czy ich robota z piekła rodem jest warta więcej niż dzieło żyjących. W rezultacie stary człowiek, który włada na górze dzwonnicy, nie może tego dłużej znieść!

– Ano właśnie, nie widziałem, by się tam udawał – odparł Gustave.

– Boi się, za dużo tu ludzi. Krótko mówiąc, uważam, że ten kościół jest skazany i przeklęty. Chętnie ofiaruję dziesięć tysięcy świec, jeśli nic złego się nie przydarzy.

Wielu innych obecnych również rozmawiało o kaznodziei, o warunku, jaki postawił, by nauczać w tym starym kościele, warunku *sine qua non*¹.

Przy drzwiach kościoła rozgrywała się innego rodzaju scena.

Stara kobieta częściowo upośledzona na ciele od lat, niemal od niepamiętnych czasów prosiła przy wejściu o jałmużnę. Okryta czarną chustą głowa opadała jej na piersi. Długą, suchą, kościstą i pokrzywioną dłonią podsuwała wiernym blaszaną skarbonkę, licząc na ich dobroczynność. Jednak bardzo rzadko z pudełka dobywał się metaliczny dźwięk, rzadko, kościół bowiem niemal zawsze świecił pustką.

Tym niemniej ta kobieta ciągle żyła i trwała w tym samym miejscu na swym zużyтым siedzeniu, opierając nieruchome stopy o drewniany podnózek i wyciągając równie nieruchomą dłoń. Gdyby nie przyspieszony oddech, który poruszał jej ciałem, można by ją wziąć za trupa, za automat bądź za kamienny posąg dzierzący skarbonkę na datki.

Nawet w zimie, wystawiona na lodowatość północnych wiatrów, pozostawała bez ruchu z wysuniętą ręką. Od czasu do czasu z jej ciała wydobywał się rodzaj grobowego głosu i dało się słyszeć słowa: „Miłosierdzia, proszę, miłosierdzia”.

Gdy do niej mówiono, nie odpowiadała. Zdawała się unikać ludzkich spojrzeń. Ani proboszcz, ani kościelny, ani nikt z parafialnej wspólnoty nie był w stanie powiedzieć, kim była, gdzie się urodziła, od kiedy zajmowała miejsce przed kościołem. Brak było jakichkolwiek informacji na temat jej osoby.

Wieczorem przewidywała nadejście nocy, bo przecież nie mogła tego widzieć z ciemnego miejsca zamkniętego, przytłoczonego, przyciśniętego skupiskiem ohydnych domów, o których wspomniałem. Przywierając niemal do niej, owe budynki pozwalały przeniknąć z zewnątrz jedynie zimowemu wiatrowi z północy, który wpadając w ciasne, wiodące do kościoła uliczki, wytryskiwał niczym powietrze z organowej piszczałki, niosąc pod mrocznymi arkadami swe ostre, diaboliczne świsty. Wówczas staruszka dyskretnie i prawie niezau-

¹ *Sine qua non* (łac.) – warunek konieczny, warunek, który musi być spełniony.

ważnie opuszczała swe miejsce i znikła wśród obrzydliwych domostw otaczających kościół.

Wprawdzie nikt nie zarzucał jej czarów ani magii – w owych czasach te błędne mniemania już nie istniały – ale milczące, niepodlegające żadnym zmianom życie tej strasznej kobiety działało na wyobraźnię i ludzie mieli podstawy, by uważać ją za osobę bardzo szczególnych obyczajów, posiadającą nadzwyczajne nawyki.

Można było przypuszczać, że w jej życiu ten dzień stanie się epokowy. Powinna zebrać mnóstwo sutych datków. Bez obawy, że mówi w pustkę, mogła kierować do przechodzących swe słowa i prośby. Ale istniała też obawa, że jak to często się zdarza w takim tłumie, gdzie każdy myśli tylko o sobie, gdzie najważniejszą sprawą jest dotarcie do celu, nikt nie będzie zaprzętał sobie głowy ofiarowaniem jałmużny nieszczęśnikom, kalekom, bezrękim, owrzodzonym bądź oszpeconym, którzy wyczekują na schodach kościoła.

Tymczasem stara Saraba, bo takim imieniem obdarzyła ją pogardliwa gawiedz, nie myślała o datkach, o jałmużnie ani o proszeniu. Po raz pierwszy jak ludzka pamięć sięga, jej ramię nie wysuwało się w horyzontalnej pozycji, po raz pierwszy jej skarbonka nie prezentowała przechodzącym swego otworu.

Starucha uniosła głowę, ale nie opuściła chusty. Niemal z nadludzką siłą odsuwała, odpychała, odrzucała daleko od siebie tłum, który zagrażał jej zgnieceniem i rozdeptaniem.

Dwoje czarnych oczu paskudnie przysłoniętych dwojgiem grubych brwi znaczyło ją z przodu niczym ognista bruzda. To było wszystko, co widziało się z jej twarzy. Wyciągniętymi i splecionymi w łuk ramionami powstrzymywała tłum i zdawała się pożądliwie, niecierpliwie i z niepokojem kogoś wypatrywać. Jej rozbiegane jak w szaleństwie oczy ciskały błyskawice. Schowana w cieniu, w jakim pozostawiało ją młde światło samotnej oliwnej lampy, przypominała jedną z czarownic z *Makbeta*, odpowiednio ubraną i gotową, by na swej miotle polecieć na sabat.

W rzeczywistości tej scenie, jakże dłużej do opisanie, przechodzący poświęcali jedno banalne spojrzenie. Nikt nie wiedział, kim była

Saraba, choć całe miasto ją znało. Ale gdyby tłum znalazł czas, by się nią zainteresować, zostałyby zaskoczony zasadniczą zmianą zachowania i zwyczajów staruszki, jej powrotem do rzeczywistości, odrodzeniem ruchów.

Tutaj trzeba zwrócić uwagę na pewnego mężczyznę w tłumie. Był wysoki, chudy i kościsty, zasuszony, wydrażony i naznaczony niewątpliwie przez zbrodnię i rozwiązłość. Ale zarazem był on zwinny, energiczny, silnie zbudowany i o członkach jak u Herkulesa. Z uniesioną głową wśród gniołającej go ciżby oddychał z wysiłkiem, jego nozdrza z hałasem wydalały powietrze. Twarz ściągała mu się chwilami ze zniecierpliwienia. Szybkie zgrzytnięcia zębów, przejściowe skurcze mięśni deformowały jego oblicze. Okrywał go płaszcz równie wstrętny jak on sam.

Na twarzach spieszących się ludzi, którzy wpadali na tego osobnika, pojawiał się wyraz odrazy.

– Do wszystkich diabłów, przecież nie da się poruszać w tym piekielnym miejscu. Toż to jest gorsze niż uliczny bazar w niedzielny wieczór. Na trąby archaniołów, wolałbym biesiadować dwadzieścia lat bez przerwy, niż tutaj przychodzić!

Ku wielkiemu zgorszeniu starych dewotek, które akurat przechodziły, człowiek ów mówił to bardzo głośno.

Wreszcie znalazł się obok staruszki, która uśmiechnęła się na jego widok, ale zaraz gniew zabarwił jej lico.

– Jest tutaj? Nie. Zatem wszystko stracone. Nie, poczekaj, otwierają się drzwi jego izdebki. Ale wszystko już pęka, a my obliczyliśmy to z grubszą tylko na pewien czas. Wiem. Lecz godzina jest bliska. Oto on. Cokolwiek nastąpi, pozostaniesz tutaj.

Mężczyzna na nowo zatracił się w tłumie. Starucha ponownie usiadła, poprawiła swą chustę, która nieco się zsunęła, opuściła głowę na piersi, a jej ramię dzierżące skarbonkę przyjęło zwykłą poziomą pozycję, nieruchomą i pozbawioną życia.

Tymczasem stary dzwon brzmiał nadal. Zaczynał powracać do życia, potrzasał swymi od dawna uspiętymi członkami jak człowiek, który się budzi z głębokiego letargu, wierci się i porusza, by rozerwać

więzy odrętwienia. Dzwon ożywiał się coraz bardziej, wydawał piękne dźwięki i napełniał swoje ciasne lokum radością, hałasem i szczęściem.

Stary kościelny dzwonnik od dawna porzucił samotną dzwonnice i przestał do niej wchodzić. Opuścił swego starego przyjaciela, równie jak on zużytego i zaniedbanego.

Pomiędzy starym Josephem a kościelnym dzwonem istniały lub raczej kiedyś istniały przyjazne stosunki i pewna intymność uczuć. Żyli obok siebie i wyobrażali sobie, że pewnego dnia odejdą razem jak owi dwaj słynni bracia¹, tak bardzo do siebie podobni zarówno z wyglądu, jak i z charakteru. Obydwaj doświadczali tych samych wzruszeń i jednocześnie wysychali i pokrywali się patyną starości.

Dzwonnik sądził, że zemrą razem, a ostatnie uderzenie dzwonu jak pianie koguta obwieści obojętnym echem jego koniec i koniec jego przyjaciela. Oczekiwał, że ostatni dźwięk dzwonu zabrzmie podczas jego pogrzebu. Cóż za wzruszający związek dwóch różnych istnień.

Toteż gdy dzwonnik posłyszał wibracje starego brązu, wyszedł ze swej izdebki i schodami, które prowadziły wprost z przykościelnego placu, zaczął się wspinać na piętro dzwonnicy.

Starzec z trudem opierał swą zrogowaciałą i pomarszczoną dłoń o spróchniałą poręcz, jakże słabe oparcie dla jego podeszłego wieku. Wspinał się, a jego ciężki chód wprawiał w drżenie zniszczony strop, wilgotny i zimny. Z opuszczoną głową wydawał się liczyć tylekroć przemierzane stopnie. Chwilami zatrzymywał się dla uspokojenia oddechu, choć wcale nie było wysoko.

Dotarł do małych drzwiczek i popchnął je. Otworzyły się, wydając chrapliwy, zużyty dźwięk, i uczyniły przeciąg, który podniósł i zjeżył rzadkie włosy na głowie staruszka.

Kulejąc, doszedł do dzwonu i patrzył na kołysanie się przyjaciela. Widział jego wysiłek, trud i wytężoną pracę. Całe życie dzwonu przyszło mu na pamięć.

– No tak! Stary przyjacielu, pamiętasz ten dzień, kiedy miał miejsce ów piękny chrzest, gdy dzwoniłeś tak cudnie, że myślałem, iż cały

¹ Być może autor miał na myśli świętych Kosmę i Damiana, lekarzy rzymskich, braci, którzy zginęli razem męczeńską śmiercią w Syrii około 303 roku.

kościół się rozsypie. Jakże wspaniale wydawałeś swoje ding-dong, czyż nie? Ach, cóż to był za chrzest, a jaki ładny i wesoły był kościół! A ten pogrzeb, gdy wszystko było na czarno! Tego dnia przyodziałem cię w szatę z czarnego płótna, by twój dźwięk uczynić żalobnym, a jego echa pogrzebowymi. Jak piękny to był dzień! Jakże zaważadacko byłeś wtedy ubrany. Twoje brzmienie było tak żalodne, a ton tak jęklivy. Myślałem, że sam umrę! Ach, jakże twój przyjaciel był szczęśliwy i tryumfujący! A Zesłania Ducha Świętego, gdy nieomal rzucałeś ogniste języki! Te Wielkanoce, kiedy obwieszczałeś zmartwychwstanie twego wielkiego Pana! Owe Boże Narodzenia, piękne i przyozdobione, radosne i dźwięczne, które zwiastowałeś zachwycenemu ludowi. Ach, cóż to były za czasy! Ale jakże się zmieniły...

Pocziwiec wspomniął narastające osamotnienie, które zawładnęło kościołem i wdarło się do dzwonnicy jak zimny podmuch wilgotnej mgły wznoszącej się znad uspionych fal aż po lazurowy nieboskłon.

Wtedy pocziwiec zapłakał i zajęczał.

– Dziękuję ci, mój dobry dzwonie. Sprawileś mi dzisiaj przyjemność. Odzyskałeś swą sprawność, swe kołysanie, swe rozhuśtanie. Posłuchaj, jak wszystko burczy, jak wszystko trzeszczy. O mój Boże, jak wszystko trzeszczy!

Starzec przerwał swe wspomnienia i po stronej drabinie wspiął się do belki położonej dwie stopy powyżej i poza zasięgiem bijącego dzwonu. Wtedy z przerażeniem spostrzegł, że elementy konstrukcji były porozsuwane, rozłączone i w złym stanie. Wydawało się, jakby niedawno tu i ówdzie powyrywano kołki. W rezultacie całe rusztowanie poruszało się i kiwało razem z dzwonem.

Te różne sceny miały miejsce i rozgrywały się równocześnie.

Tymczasem czas zdawał się płynąć powoli. Ze wszystkich stron dobiegały szepty, rozmawiano ze szczególną swobodą. No cóż, w podobnym kościele majestat świętego miejsca nie mógł krępować niedyskretnych rozmów. Nic, absolutnie nic nie wzbudzało bogobojności, nie nakazywało szacunku.

Tak oto mijały minuty, a ów moment tak niecierpliwie oczekiwany zdawał się wyłamywać spod zwykłego podporządkowania czasowi.

Z całą pewnością jakaś nieznama tłumowi przyczyna powodowała to opóźnienie.

Tymczasem od strony zakrystii dobiegł jakiś hałas, nastąpiło jakieś poruszenie jak wtedy, gdy komuś trzeba uczynić przejście. Głowy się uniosły, szyje się wydłużyły, krzesła zaszurały, a spojrzenia z zapalem skierowały się w głąb kościoła. Przeszkadzano sobie, odwracano się, wycierano nosy, mężczyźni owijali się płaszczami, a kobiety poprawiały spódnice. Wszyscy się przygotowywali.

Dzwon ciągle dzwonił, a nawet podwajał swe wysiłki. Chciał godnie zakończyć te szczęśliwe chwile, które właśnie przeżywał, nim ponownie zanurzy się w długiej, być może wiecznej już ciszy.

Zataczając coraz spieszniej hałaśliwy półokrąg, coraz szybciej przebiegany, dzwon wytaczał bardzo obficie swe dźwiękowe fale. Jego rozgrzane serce, pocąc się, błyszcząc i gorejąc jak ognista, promieniąca kula, miało nieustającą błyskawicę w swym nieokiełzanym ruchu. To było piękne. Przykucnięty na podłodze stary Joseph pełną piersią chłonał dźwięczne powietrze.

Dwaj mężczyźni ciągnący za sznur dzwonu, wyczerpani i przemęczeni, zdawali swe wysiłki. Ze sztywniejącymi rękami, napiętymi mięśniami, spoconymi twarzami i bólem w plecach, raz unoszeni zamachem dzwonu, raz opuszczani na ziemię zdawali się błagać o litość.

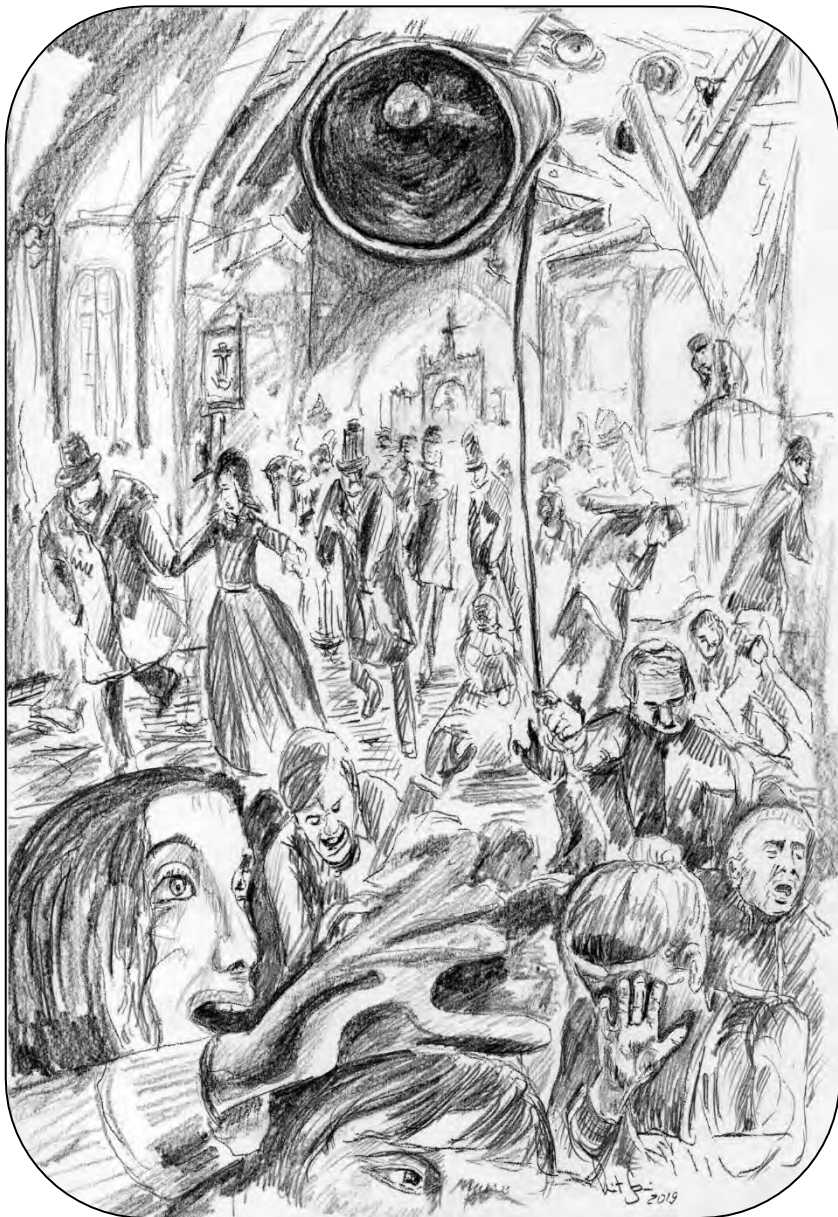
Jakiś człowiek z tłumu pospieszył im z pomocą. Znalazł się tam przypadkiem. Przyskoczył do sznura. W tej samej chwili z kieszeni wypadł mu zielonkawy portfel. Spostrzegł to na szczęście. Mówię: „na szczęście”, bo z widocznym przestraciem czym prędzej schował portfel z powrotem, chwycił za sznur i dał się porwać w górę.

– Och! Och! To on – rozległ się rozdzierający głos pełen przerażenia, trwogi i lęku.

Te słowa wydobyły się z ust jakiejś kobiety. Wszyscy się odwrócili, unieśli ze swych miejsc i spojrzeli w jej kierunku. Przestrzeń wypełniała się atmosferą paraliżującego strachu. Wszystko nabierało satanistycznego wyglądu.

– Co się dzieje, o co chodzi?

Tymczasem dzwon, którym poruszyła świeża siła, grzmiał i wstrząsał powietrzem.



Mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy, wszyscy rzucili się do ucieczki.

Z dzwonnicy dobiegły przerażające, straszne okrzyki śmiertelnego strachu, wrzaski trwogi:

– Przestańcie, och, przestańcie!

W tej samej chwili dzwon odczepił się od spróchniałej, rozklekotanej konstrukcji i runął na dół dzwonnicy. Stary kościół, wstrząśnięty aż do fundamentów, poruszony aż do najgłębszych podstaw, zadygotał. Serce dzwonu z impetem armatniej kuli przebiło łupkową ściankę i roztrzaskało kostkę ulicznego bruku. Kamienne odłamki rozprysły się zdumiewająco daleko.

We wnętrzu świątyni wstrząs był przerażający. Wszystko podskoczyło i opadło. Mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy, wszyscy rzucili się do ucieczki. Jedni tłoczyli się do drzwi, inni schwycili znajdujące się tam drabiny, by dostać się do okien. Tłoczono się bez opamiętania.

Zapanowało zamieszanie, bałagan i chaos. Słyszać było tupot nóg i krzyki umierających. Miażdżono się i bito, jedni wpychali się na drugich. Tutaj czyjeś ramię znalazło się w imadle ludzkich ciał, które skręcały je i odkręcały w niezliczonych kierunkach. Tam komuś nogę złamano jak trzcinę i oderwano od tułowia. Gdzie indziej ktoś upadł i już się nie podniósł. Zduszony, zanim dosięgnął podłogi, wkrótce stał się strzępem bezkształtnego mięsa o pokruszonych kościach i roztrzaskanej głowie. Małych dusili duzi, dużych tłamała ciżba silniejsza niż oni.

Gwałtowny napór uciekającego tłumu wyrwał filar dzielący wejście na pół. Masywne granitowe bloki spadały i zabijały, ale trupy pozostawały w pozycji stojącej. Z powodu ciżby nie upadły i zamiast zwolnić nieco miejsca, przysparzały wysiłków i trudu żywym, dodatkowo wyczerpując tych, którzy je popychali.

Tuż przed katastrofą jeden z naszych znajomych – Jules Deguay, niesiony ciekawością i rycerskością, pospieszył z pomocą kobiecie, która krzyknęła. Został leżącą na podłodze nieprzytomną, na wpół żywą, ładną dziewczynę. Rozepchnął otaczających gapiów i znalazł się przy niej w momencie upadku dzwonu.

Zrozumiał niebezpieczeństwo, jakim był uciekający tłum, a że był niezłym chwatem, więc bez jakichkolwiek skrytych zamysłów przyrzekł sobie, że uratuje piękną dziewczynę.

Jakże ciężki był jego wysiłek, zadany sobie trud i ileż wylał potu! W ramionach trzymał nieprzytomną osobę. Trzeba było ją podnieść z podłogi, by nie została zdeptana. Musiał podtrzymywać jej piękną głowę, która opadała jak pęk na wpół ściętego z łądygi kwiatu. Ponadto jej giętka kibić w każdej chwili mogła zostać przez ciżbę połamana!

Jules Deguay, podwajając wysiłki, zwielokrotniając swe siły, robił, co w jego mocy. Polegając na swej odwadze wspartej zimną krwią i logicznym myśleniem, mógł żywić nadzieję, że ją ocali. Z uniesioną wysoko głową chwycił rozrzedzone powietrze. Prężył nogi, napinał barki, odchylając je wstecz, i raz był niesiony, a raz niósł swych sąsiadów, ledwie przy tym dotykając podłoża. Skrajnie wyczerpany dotarł do wejścia w chwilę po zburzeniu filara.

Jeszcze tylko jeden krok do wykonania, bo otwierający się korytarz był mniej zatłoczony. Ale najtrudniejsze było przed nim. Zebrał resztę wyczerpanych sił, zacisnął zęby, skurczył pierś, podniósł wyżej dziewczynę, która zaczęła się osuwać, i przygotował się do nowej walki.

Gdy dotarł do wyjścia, potknął się niestety o jeden z ogromnych kamieni po zniszczonym filarze. Sądził, że już po nim, a jednak nie wypuścił cennego bagażu, dla którego ryzykował życiem. Zamknął oczy, usztywnił ramiona i jeszcze mocniej objął dziewczynę, która w jego uścisku zwisała już jak nieżywa.

Ciżba poniosła go z sobą i drzwi zostały pokonane. Matce Bożej winien był okazałą świecę. Podążał z ludzkim potokiem ciemnymi uliczkami, aż padł nieprzytomny ze swym brzemieniem przy narożnym słupku.

Tłum wylewał się strumieniem, który rozgałęział się na skrzyżowaniu dwóch korytarzy. Płynął z krzykami, z wrzaskami, wlokąc z sobą a to rękę, a to nogę, a nawet zwłoki, które opadały wraz z rozluźnieniem się ludzkiej ciżby w przestronniejszych miejscach.

Zwłoki pobierano w nocy. Rano naliczono ich osiemdziesiąt osiem. Ranni byli mniej liczni.

Miejska administracja zajęła się pogrzebami, usunięciem śladów krwi, zamknięciem kościoła i naprawą bruku uszkodzonego sercem

dzwonu. Postanowiono, że ślady krwi nie powinny zbyt długo pozostawać widoczne, by lud się do tego nie przyzwyczaił. Kilku robotnikom zajęło to parę godzin pracy. Administracja zapłaciła im z przeznaczonego na taki cel funduszu i więcej się tym nie zajmowała. Sprawę zamknięto.

Pozostało już tylko około setki płaczących rodzin.

Po oddaleniu się tłumu człowiek, który pomagał przy dzwonieniu, podszedł do miejsca, gdzie siadywała stara Saraba. Znalazł ją leżącą w omdleniu. Przywrócił staruchę do przytomności.

– No i co? – odezwał się. – Nic z tego! Pudło!

– Bądź przeklęty z twymi zamierzeniami z piekła rodem! – odparła z wściekłością w głosie.

– Kobieto, stara Abraxo, zamilcz i wracaj.

Starej Saraby nie znaleziono wśród trupów, a przecież zniknęła. Wpisano ją do rejestru zgonów razem z innymi ofiarami katastrofy.

Gawiedź twierdziła, że rozsypała się w proch.

Stary kościół zamknięto definitywnie. On opustoszał, a Saraba zmarła.



Rozdział II

Rozmowa na plebanii na temat tajemniczej nieobecności kaznodziei w wieczór dramatu

Bracie, to, co wydarzyło się wczoraj, jest niezwykle smutne.
– Niestety tak, bracie – odpowiedział nieśmiało młody ksiądz swemu dostojnemu zwierzchnikowi, proboszczowi ze Świętego Michała, jednej z obfitszych i zasobniejszych parafii w Nantes – to bardzo smutne wydarzenie.

– Czy wiesz, ilu ludzi tam zginęło, czy zainteresowałeś się bliżej tą przerażającą katastrofą?

– Nic a nic, bracie – odparł skromnie początkujący duchowny.

– Nic nie jesz, mój drogi wikary – podjął proboszcz, zwracając się do jednej z tych zaokrąglonych twarzy, jednego z tych pękatych brzuchów, których sam widok zachęca do odchudzania podczas wielkiego postu.

– Ależ tak, bracie, ależ tak, jadam z apetytem. Bez problemu nadrabiam zaległości po porannym poszczeniu. Niektórzy uważają, że większą, dobitniej odczuwaną przyjemność sprawia zasiadanie do jedzenia tylko wtedy, kiedy jest się porządnie wygłodzonym.

– Och, bracie, ponieważ się z tym zgadzam, a postne jedzenie umiejętnie przygotowane, smakowicie dobrane, subtelnie przyprawione naprawdę stanowi posiłek, którym wielu ludzi w pełni by się zadowoliło.

– Ty też nic nie jesz, młody bracie – powtórzył proboszcz, tym razem patrząc na początkującego duchownego, rumieniącego się ze wstydu, że przełożony zwraca się doń tak serdecznie i wciąga do tak istotnej i pobożnej rozmowy, w której dotychczas nie zabierał głosu.

– Wybaczcie, drodzy bracia, ale już się posiliłem. Jestem wystarczająco najedzony.

– Słaby jest ten wikary, słaby jest w tych sprawach.

Te słowa wypowiedziane zostały *apartem*¹.

– Jean, Jean, sprzątnij ze stołu i przynieś nam kolejne dania, gorące i apetyczne.

– Nasz poprzedni wikary, ten to dopiero był smakosz! Potrafił dobrze zjeść, sądzę, że bez trudu dotrzymywał mi kroku. Och, jakże on był potężnie zbudowany. I miał niezły spust.

– Solidne chłopisko, ale żał mi naszych pozostałych wikarych – potwierdził proboszcz. – Mają dziś tyle zajęć. Uczestniczą w uprzętananiu zwłok, by nieść duchową pociechę nielicznym żyjącym, których wydobyto spod stosów trupów.

– To bardzo smutne. Ale à propos, drogi proboszczu, ów kaznodzieja, który poruszył całe miasto, podobno wcale nie przybył na kazanie?

– Czyżby go w mieście nie było?

– No właśnie, drogi proboszczu. Widzę, że nie wiesz tego, co jest najbardziej niezwykle. A ty, mój młody bracie?

– Słyszałem pogłoski – odpowiedział nieśmiało młody ksiądz – że bezskutecznie szukano go przed rozpoczęciem rekolekcji.

– Ja wam dokładnie to wszystko opowiem.

– Jean, Jean, pośpiesz się nieco. – Gwałtownie szarpany dzwonek przyzywał spóźnialskiego, a jeśli po jego dźwięku osądzać głód wikarego, to musiał on być niezmierny.

– Nie popędzajmy go dziś nadto, wikary. Wiesz, że jest ciągle przybity straszną wiadomością o zniknięciu brata. To bardzo nim wstrząsnęło. Jego brat był młodym proboszczem w parafii Brains.

– Tak, faktycznie, słyszałem o tym.

Tymczasem wszedł Jean. Jego pojawienie się przerwało rozmowę. Smutne oczy, posępna i przygnębiona twarz były wymownym świadectwem bólu. Cierpienie piętnuje, a serce potrafi rysować swe wzruszenia na ludzkim obliczu.

Jean przyniósł kilka dań, podał je i pospiesznie się oddalił. Łzy zaczynały go dławić. Cierpienie lubi się skrywać w obecności innych lu-

¹ *Apart* (monolog na stronie) – wypowiedź postaci scenicznej relacjonująca jej myśli, przy umownym założeniu, że jest ona słyszalna dla widzów, ale nie dla innych postaci; tutaj – cicho, do siebie.



Jean przyniósł kilka dań, podał je i pospiesznie się oddalił.

dzi, natomiast w trakcie rozmowy wzburza się i wzrasta. Trzeba je uśpić, ukoić, znieczulić. Wynaleziono znieczulanie fizyczne. Gdyby tak wynaleźć również znieczulenie duchowe, ale o ile po tym dobroczynnym, ochraniającym uśpieniu powracamy do życia uwolnieni od cierpienia ciała, to jakkolwiek długi i rozkoszny byłby sen, trzeba odzyskać świadomość, trzeba powstać do cierpień duchowych. Sen nie pozwala zapomnieć o bólu, wprawdzie odsuwa go, więzi i tłumi, lecz ten powraca pełną falą do serca, gdy budzi się ono jako pierwsze, a dusza zanurzona w tym gorzkim strumieniu może uważać się za szczęśliwą, uśpiwszy na chwilę swe nieszczęścia. Niegdyś ludzie pili z rzeki zapomnienia i sprawa była załatwiona. Obecnie, by oszukać kłujące rozgoryczenie, ochłodzić wysuszające cierpienie, zniszczyć dręczącego robaka, są tylko dwa rozwiązania, smutne skrajności: wieczny sen, śmierć, metempsychoza¹ lub przejście człowieka na poziom zwierzęcia, zbydłecenie. Można to osiągać w takim stopniu, w jaki się chce, za pomocą upajających napojów, poprzez wyczerpujące przyjemności, orgie, rozpustę i przekraczanie wszelkich granic. Te środki znieczulają serce, czynią je niewrażliwym, przemieniają je w kamień. Lecz z takim sercem długo się nie żyje i bez trudu przechodzi z okrutnego życia do śmierci.

Po tej szczególnej dygresji powróćmy do naszych spraw. Najlżejszy hałas, najmniejszy ruch przywraca ból, którego nie dało się oszukać. On musi pozostać w samotności. Toteż Jean nie był w stanie powstrzymać łez.

Oddalił się, jak mógł najszybciej.

– Wygląda na nieszczęśliwego!

– Ma po temu poważne powody. Zaginięcie gorsze jest od śmierci, bo ona zabija nadzieję i duch pozbawiony pokarmu szybko osiąga stan zapomnienia. Natomiast zniknięcie, wręcz przeciwnie, podsyca ducha, pozostawiając go w ciągłym niepokoju.

– Dobrze powiedziane, młody bracie, doskonale wyrażone!

¹ *Metempsychoza* (reinkarnacja) – wiara we wcielanie się duszy po śmierci ciała w inny byt fizyczny.

Początkujący duchowny gwałtownie zamilkł, opuścił wzrok w postawie skupienia i od tej chwili czuł, by nie dać się ponieść sentymentom.

– No więc, wikary – podjął proboszcz, robiąc głęboki oddech jak osoba, która się dusi – zacząłeś nam mówić, że wiesz, co stało się wczoraj.

– Tak, drogi proboszczu. Oto fakty. Jak wiecie, owego pielgrzyma, tego pobożnego wędrowca, kaznodzieję z dalekich stron, który ostatnio przebywał w [...], nadaremnie proszono, by zatrzymał się w naszym mieście i wygłosił kazanie. Uważaliśmy, że opowiedzenie o cierpieniach Jezusa Chrystusa – w tym momencie trzej duchowni uchyliłi nakryć głowy, proboszcz i wikary niefrasobliwie, tak przywykli do tej czynności, a młody ksiądz pobożnie i z respektem – ustami człowieka, który na własne oczy widział scenerię jego męki, będzie bardzo pożyteczne podczas czterdziestodniowego świętego wielkiego postu. Przyciągnąłby mnóstwo ludzi, którzy na co dzień nie chodzą do kościoła. Rzecz jasna, że przyciągnęłyby ich ciekawość, ale może to by ich utwierdziło!

– Zgadzam się, wikary, zgadzam. Jestem dokładnie tego samego zdania. Ach! – zakończył kolejnym westchnieniem proboszcz.

– No więc prośby zdały się na nic. Przesztano nalegać. Za kilka dni kaznodzieja miał być w Bordeaux, nie mógł się u nas zatrzymać. Było to niemożliwe. Wyraził swój żal, pożegnał się i powędrował dalej. Przesztano się nim zajmować.

– Ale w takim razie – zdziwił się młody ksiądz – po co wezwano na kazanie, dlaczego stary kościół miał być jego miejscem?

– Cierpliwości, młody bracie, cierpliwości, bo ta cnota jest matką pozostałych. Wstrzemięźliwe oczekiwanie na naturalny bieg rzeczy zawsze wiedzie do szczęścia i do spokoju duszy. Zapamiętaj to i stosuj.

Początkujący duchowny zarumienił się, skrzyżował pobożnie ramiona i ponownie zagłębił się w rozmyślaniach.

– Po kilku dniach – kontynuował wikary, najpierw nieco się napiwszy – bodajże po dwóch, biskupstwo otrzymało list adresowany z La Rochelle i tamże datowany. List oznajmiał, że z powodu opóź-

nienia w podróży do Bordeaux odwołano konferencje, które tam miały się odbyć. Zatem kaznodzieja, ojciec Bruno, tak bodaj się nazywa, dysponuje trzema lub czterema wolnymi dniami. W związku z tym oddaje się on do dyspozycji swych przełożonych w Nantes. Będąc niepokieszony, że nie mógł spełnić życzeń ludności, która tak bardzo pragnęła posłuchać jego poruszających opowieści, podziękował niebiosom, że dały mu okazję odkupienia swej niegrzeczności, bo tak nazwał swą odmowę. Obiecał więc natychmiast ruszyć w drogę i na czas przybyć na kazanie, którego godzinę również wyznaczył.

– I nie przybył, czyli coś mu przeszkodziło... – Spojrzenie wikarygo urwało wypowiedź nowicjusza.

– Pisał też, że nie chcąc nikomu przeszkadzać, pragnąc nie zakłócać żadnych zwyczajów i ustaleń, proponowałby wygłoszenie kazania w starym kościele Świętego Mikołaja. Będąc w mieście, zwiedził go, widział, że ten kościół był opuszczony i nadawał się doskonale do jego nauczania. Chciał odnaleźć pewną bliskość między jego ciemnymi arkadami i grobowymi nawami a świętymi miejscami Palestyny i Betlejem. To miejsce wydawało mu się najbardziej odpowiednie dla efektu, jaki zamierzał wywołać. Jak przypuszczasz, drogi proboszczu, chętnie przystano na jego prośby i wszystko przygotowano tak, jak tego sobie życzył. Wiesz, jaką okropną katastrofą to się skończyło. Na wiadomość o tym zapewne bardzo będzie cierpiał i płakał, bo ostatecznie, choć nie bezpośrednio, zupełnie nie bezpośrednio, to on jest przyczyną tego nieszczęścia.

– Daruj, wikary, daruj, po tysiącokroć daruj, ale w najmniejszym stopniu nie podzielam twojej opinii. Jestem jej bardzo daleki.

– Och, proboszczu, w takim razie nie rozumiałeś zastrzeżenia, jakim opatrzyłem moją refleksję. Rzekłem: zupełnie nie bezpośrednio.

– Dobrze słyszałem i doskonale rozumiałem. Tym niemniej widzę tam rozległą przepaść. Wyczuwasz przecież, że nie można powiedzieć, nie fałszując prawdy, a nawet zdrowego rozsądku, że to on był przyczyną.

– Ależ proboszczu, pojmujesz przecież moje rozumowanie. Gdyby kaznodzieja nie istniał lub przynajmniej nie przeszedł przez nasze

miasto bądź nie zaproponował, że tu powróci, gdyby kontynuował swoją podróż zgodnie z wcześniejszym zamierzeniem, albo jeśliby nie postawił warunku wygłoszenia kazania w starym kościele Świętego Mikołaja, do nieszczęść, o których mowa, nigdy by nie doszło.

– Wikariuszu, nie pamiętam już, gdzie czytałem następującą historijkę: Pewien Hindus, spacerując kiedyś z jakimś Francuzem, wyznał mu, nie wiem już w związku z czym: „Nie mogę sobie darować jednej rzeczy. – Czego? – Że spowodowałem śmierć waszego króla Henryka IV¹. – Ach tak! Naprawdę? – Oto jak rzecz się miała: Przechadzałem się pewną drogą. Pamiętam, że ruszyłem z lewej nogi. Podczas mego spaceru byłem zamyślony i rozmarzony. Droga była wąska. Nagle kogoś potrafiłem, to był mężczyzna. Gdybym ruszył z prawej nogi, nie zaczęlibym o niego, przeszlibyśmy bez problemu jeden obok drugiego. Ale cóż, potracony wpadł do wody i utonął. Był żonaty. Wdowa po nim powtórnie wyszła za mąż, za pewnego Francuza i miała z nim syna Ravaillica²”.

– I co z tego? – zapytał wikary, który nie zrozumiał apologu³.

– A to, że ponieważ Ravaillic zabił Henryka IV, więc Hindus był tego powodem, bo gdyby tamtego dnia nie ruszył z lewej nogi, nigdy nie doszłoby do tego królobójstwa.

– Szanowny proboszczu, nie zgadzam się wcale z twoim porównaniem. Nie będę nawet dyskutował. Zresztą widzę, że nie rozumiałeś znaczenia mojej wypowiedzi.

– Zadziwiający jesteś, wikary!

– Ty jesteś nie mniej szczególny, proboszczu. Nie powiedziałem przecież, że cokolwiek zarzucam ojcu Brunonowi lub go obwiniam o to, co wydarzyło się wczoraj.

– Proszę mi darować, ale to właśnie wyrażały twoje słowa. A jeśli nie, to twoja refleksja była pustostłowiem.

¹ *Henryk IV* (1553-1610) – król Francji od 1589, pierwszy z dynastii Burbonów, wcześniej król Nawary; edyktem nantejskim z 1598 zakończył wojny katolików z hugenotami; powszechnie lubiany i szanowany.

² *François Ravaillic* (1578-1610) – nauczyciel; zasztyletował przejeżdżającego karocą ulicami Paryża króla Henryka IV.

³ *Apolog* – opowieść dydaktyczna zbliżona do bajki.

– Przepraszam, proboszczu, przepraszam. Tą ogólną sentencją chciałem ci pokazać, że często drobiazgi mogą powodować ogromne skutki.

– Eee, ależ wikary – odparł kwaśno proboszcz – czyżbyś sądził, że ja o tym nie wiem?

– Nie wydaje mi się, bym to od ciebie usłyszał, a poza tym sądzę, że zgadzamy się z sobą, a spieramy się tylko dlatego, że się nie rozumiemy.

Nie wiem, czym zakończyłaby się ta dysputa. Zresztą podobnie było każdego dnia. Dla tych do syta najedzonych panów deser był tylko pretekstem, by sobie po przyjacielsku i łagodnie porozmawiać, jak właśnie to widzieliśmy.

Kres sprzeczce położył służący, który przyniósł gazetę. Położył ją i odszedł, milczący i smutny.

Proboszcz wziął gazetę, obrócił ją kilka razy, powąchał, otworzył, rozłożył, spojrzął, jaką powieść drukowano w odcinkach, poszukał bieżących informacji, sprawdził z grubsza, czy zawierały coś ciekawego, po czym zażył tabaki.

– O, piszą o wczorajszej katastrofie: *Wydarzyło się coś przerażającego*, itd., *serce dzwonu poleciało z taką siłą, że... Było to coś nadzwyczajnego. Nie można zrozumieć, jak policja mogła pozwolić...* Zawsze policja na pierwszym miejscu. *Doliczono się dziewięćdziesięciu ofiar.* Sądziłem, że było ich więcej. A jeśli popełniono błąd, to zawyżając liczbę. Gazety zawsze przesadzają. *Niezmierna ilość rodzin pogrążona jest w...* No, jak zwykle.

– Och, mój Boże! Wikary, czy widzisz ten artykuł? – *Wczoraj wieczorem do naszego miasta przybył ojciec Bruno. Zatrzyma się tu na bardzo krótko. Tym niemniej głosił będzie w katedrze*, itd.

– Zaraz, zaraz: *Jak czytamy w dzienniku z Bordeaux z dziesiątego marca.* Dziś mamy trzynastego. Przybył tam zatem dziesiątego. Stąd wyruszył ósmego wieczorem. W żadnym wypadku nie mógł napisać w La Rochelle listu datowanego na jedenastego marca!

– No widzisz, proboszczu. Miałem dziwne przeczucia machinacji. Nie wszystko wydawało mi się naturalne. Tkwi w tym jakaś niepojęta tajemnica, którą za wszelką cenę trzeba wyświecić.

W tym momencie wszedł jeden z wikarych wezwanych do posługi przy trupach.

– Czy wiedziałeś o tym artykule?

– Oczywiście – odpowiedział nowo przybyły – Ta wiadomość rozeszła się po całym mieście. Policja się tym zaniepokoiła i wszczyna śledztwo.

– Za wszelką cenę muszę wiedzieć, czego mam się trzymać. Udam się do królewskiego prokuratora, on musi coś wiedzieć.

To mówiąc, proboszcz pospiesznie nałożył kapelusz, ujął laskę i wyszedł.

– Poczekajmy na jego powrót, bracia. Sądzę, że nie mamy nic lepszego do roboty. Czy chcecie pogawędzić?

– Z przyjemnością, szanowny bracie.

Wkrótce słychać było tylko szepty, przez które od czasu do czasu przedzierały się echa zduszonych, pospiesznych i niezrozumiałych głosów. Owi panowie byli do tego tak przyzwyczajeni, że można im to wybaczyć.



Rozdział III

W jaki sposób Jules Deguay, młody ratownik, przyprawia Annę do jej rodziców – Dziwne zachowanie dorożkarza

Jules'owi Deguayowi z dziewczyną w ramionach z pomocą pospieszyły jakieś litościwe osoby. Zaniesiono ich do pobliskiego domu, w którym udzielono im pierwszej pomocy.

Wkrótce on odzyskał przytomność, a choć słaby i wyczerpany, mógł także pomagać w ratowaniu dziewczyny, która ciągle nawet się nie poruszyła. Jak wiemy, jej przerażenie miało zupełnie inne źródło niż ogólna panika. Był nią widok nieznanego, który uczeplił się sznura dzwonu. Nikt nie znał przyczyny jej omdlenia. Jej krzyki, wypowiedane słowa oczywiście słyszano, ale do kogo je kierowała? Poza tym tłum w chwili katastrofy, która nastąpiła natychmiast po wybuchu lęku dziewczyny, był nadto zajęty samym sobą, by myśleć o czymś innym. Taki egoizm jest bardzo naturalny i w pełni wybaczalny.

Jules Deguay był oczarowany urodą dziewczyny. Faktycznie była ona naprawdę piękna. Nie znaczy to, że tylko w powieściach konieczne jest, by dziewczyna była urodziwa. Wcale nie. Byłoby to nawet mało wytworne, bo mogłoby prowadzić do stwierdzenia, że płeć jest piękna tylko w romansach, czyli że kopia upiększa oryginał. Tym niemniej dziewczyna była piękna i choć nie jestem na tym punkcie maniakiem, jednym z tych, którzy zapalają się jak bawełna strzelnicza od prochu, to zapewniam was o jej urodzie. Sądzę także, że najlepiej bym zrobił, oznajmiając wam to tylko bez próby jej opisywania. Mimo wszystko jednak spróbuję.

Jej błądź szczególnie pasowała do emanującego z niej wdzięku. Matowa biel twarzy o delikatnej i aksamitnej skórze zatrzymywała i przykuwała spojrzenie niczym połysk złota. Pozbawiona świadomo-

ści i życia głowa kołysała się wdzięcznie i elastycznie. Zdawało się, że naturalny urok, który cechował ją za życia, nie opuści jej także po śmierci, ponieważ w tym bezwładnym stanie, objęta ową jednoczącą człowieka z grobem obręczą, jej ciało nadal kołysało się miękkimi ruchami. Opuszczone powieki o długich rzęsach, ten organ wyrażający miarę dziewczęcej skromności, na podobieństwo niemal przezroczystych woalek przysłaniały jej czarne oczy. Czyż oczy w omdleniu nie powinny być zamknięte? Czy skromne i czyste spojrzenie nie wywołałoby rumieńców na widok środków, jakie koniecznie muszą być podjęte, by zemdlonej osobie przywrócić przytomność?

Wkrótce zaczęły się pojawiać objawy życia, jeszcze złodowaciałe, niewrażliwe, nieco urywane, nieregularne i niezdecydowane. Powoli stawały się bardziej aktywne, szybsze, pewniejsze i coraz gwałtowniejsze. Stopniowo ciepło ożywiało kolejne członki, przywracając im czucie i oswabdzając organy. Nerwy się uspokajały, a mięśnie rozluźniały jak zwolniona z uwięzi sprężyna. Objawy życia stawały się coraz bardziej zauważalne, gwałtowniejsze, żwawsze i przywracały czucie. Krew, pulsując, napelniała żyły, a płynąc szybciej i goręcej, niosła coraz silniejsze, pobudzające tchnienie życia. Dziewczyna odzyskiwała przytomność w rytm serii prawie niezauważalnych spazmów, lekkich skurczów i wstrząsów, które uspokajały się, rozplływały i wreszcie zaniły. Krążenie krwi zwolniło tempo po osiągnięciu szczytu w rozszalałym przypływie, unormowało się i stało spokojne, naturalne, rytmiczne. Dziewczyna odzyskała pełnię sił.

Jej pierwsze słowa, pierwsze gesty ciągle wyrażały przestach. Ręką usiłowała odepchnąć coś, co ją przerażało, coś, co ją szokowało i budziło w niej strach. Sprawiała wrażenie pogrążonej w hipnotycznym śnie. Bała się niemal wszystkiego, lecącego owada i poruszonej słomki. Nadal była w stanie nerwowej osoby, która potrafi słyszeć drapanie po szybie, przecinanie korka bądź głaskanie aksamitu.

Tymczasem poszukiwał jej krewniak, który razem z nią wybrał się do kościoła. Jemu również udało się wyjść cało na zewnątrz. Z niepokojem malującym się w napiętych i skurczonych rysach twarzy rozpytywał o dziewczynę wszystkie napotkane osoby.

– Co robić, dokąd się udać? – rozważał w zamęcie tłoczących się myśli i nawale przypuszczeń. – Anno, Anno, gdzie cię szukać? Och, zabijasz mnie!

Nie panując nad sobą, jak szalony biegał po kościele, po ulicach i uliczkach, zaczepiając wszystkich, nie oszczędzając siebie samego.

– Czy widzieliście moją Annę, moją najdroższą chrześnicę?

Lecz któż mógł widzieć jego chrześnicę Annę? Któż nie szukał ojca, matki, córki, brata, syna, siostry, pochylając się nad każdymi zwłokami w obawie najgorszego? Któż myśleć mógł o dziewczynie?

Był taki ktoś – człowiek, który przed katastrofą rozmawiał ze starą Sarabą, człowiek w znoszonym płaszczu, który nie stracił jej z oczu podczas całego zamieszania i pierwszy zaoferował się z pomocą, by zanieść dziewczynę do przyzwoitego domu, gdzie przywrócono ją do przytomności. Jak sobie przypominamy, był to człowiek chudy, suchy i kościsty, energiczny i krzepki.

Osoby, które niosły dziewczynę, nie zwróciły na niego uwagi. Zresztą człowiek ów nie chciał zanadto ukazywać swej twarzy i gdy tylko znaleźli się chętni do pomocy ludzie, sam zniknął w brudnych, mrocznych, ciasnych uliczkach, stłoczonych i krętych niczym szaniec złowieszczej wróżby, uliczkach, które się przenikały, splatały, krzyżowały i rozplatały bez końca w formie zawikłanego labiryntu, ze wszech stron oplatającego stary kościół. On sam w istocie z powodu swego usytuowania bardziej sprawiał wrażenie schronienia dla zbrodni niżli przybytku Boga.

Po niekończących się poszukiwaniach Opatrzność przywiodła wreszcie krewniaka młodej Anny do poczciwego domostwa, które przyjęło Jules'a Deguaya.

Widok odnalezionej dziewczyny szybko osuszył jego łzy. Gdy stwierdził, że jest ona pod dobrą opieką, pobiegł jak najszybciej powiadomić jej ojca i matkę, a oni pospiesznie udali się do swej córki.

Przybyli na parę chwil przed jej oprzytomnieniem. Ojca szybko poinformowano o wszystkim, co się przydarzyło. Do matki nie docierało nic. Biegąc do córki, ojciec był tak wstrząśnięty, że nawet nie zauważył nadzwyczajnego zamieszania, które ożywiało ulice. Nie widział

ludzkich skupisk, noszy, rannych, nieżywych ani krwi, choć pośród tego wszystkiego przechodził.

Dowiedział się, w jaki sposób i przez kogo jego córka została uratowana. Jej omdlenie przypisał przerażeniu, jakie musiało nią zawładnąć w podobnych okolicznościach. Gdy wiedział już wszystko, odwrócił się do młodego człowieka i uściśnął mu dłoń. W tym dotknięciu było coś elektryzującego. Młodzieniec zadrżał i omal się nie popłakał.

– Jutro moja córka panu podziękuje – oświadczył ojciec dziewczyny.

Młody człowiek pospiesznie się oddalił, nie mogąc dłużej wytrzymać. Pobiegł na poszukiwanie swych dwóch przyjaciół, Michela i Gustave'a.

W następstwie udzielonej pomocy i opieki dziewczyna całkowicie przyszła do siebie. Matka bardziej niż ktokolwiek potrafi leczyć swoje dziecię. Obecność matki jest lekiem uniwersalnym.

Anna otwarła oczy, uniosła się i rzuciła w ramiona matki, po czym łzami rzewnego płaczu zrosiła matczyną pierś.

– To on, ojczy, to on, znów go widziałam. Och, jakże to było bolesne! Boże, jakże to było bolesne!

– Znów go widziałas, kogo, jego? Och, moje biedne dziecko...! Chodź, chodź.

Przywołano jedną z dorożek, które krążyły w pobliżu niczym karawany wokół sceny rozpaczy. Zapłakana rodzina wsiadła, zapuszczono zasłonki i fiaker pojechał pod numer dziewiętnasty na ulicę Clavurerie, gdzie mieszkała dziewczyna.

Noc była bardzo ciemna. W marcu zimne i mgliste cienie bardzo szybko okrywały miasto swym lodowatym sklepieniem, a opadający obfity szron osadzał się na wyboistym bruku ulic, nadając mu polewany wygląd.

Dorożka posuwała się powoli, jakby co chwilę zamierzała zmienić kierunek jazdy. Jedyna błada latarnia olejna, mająca oświetlać drogę koniom, rzucała ich czarniawe, ruchome, fantastyczne cienie, które ciągnęły się nieskończenie daleko. Światło migotało przy każdym wstrząsie, wprawiającym latarnię w kołysanie. To powodowało nieu-

stającą fantasmagoryczną projekcję wydłużających się i skraccających cieni, rozjaśnień i przyciemnień.

Dorożkarz sprawiał wrażenie nieprzywykłego do powożenia końmi, ledwo ośmielał się podnosić głos, by zachęcić je do ciągnięcia. Rzucił skosem ukradkowe spojrzenia, złowrogie, dzikie, błyszczące jak błyskawica. Gdy dojechali do końca ulicy de la Juiverie, która wychodziła z mieszaniny domów okalających stary kościół, a była prostopadła do wielkich ulic przecinających miasto, zamiast skrócić w prawo, by zagłębić się w jedną z przecznic wiodącą wprost do ulicy de la Clavurerie, zakręcił lekko w lewo, by wjechać w równoległą do niej, mroczną, ciasną, długą i czarną uliczkę prowadzącą wprost do starego kościoła Świętego Mikołaja. Zegar starego miejskiego Bouffay¹ wybił godzinę ósmą. Jego bardzo szczególny dźwięk, przytłumiony przesyconym mgłą, wilgotnym powietrzem, brzmiał nader ciężko. Dorożka ciągle się posuwała i jakby zwiększyła prędkość.

Wewnątrz pojazdu skrajnie wyczerpana dziewczyna zasnęła w ramionach matki. Nawet najgłośniejsze hałasy nie były w stanie jej zbudzić.

Matka starała się nie przeszkadzać swemu ukochanemu brzemieniu. Podtrzymywała głowę córki w pozycji najdogodniejszej do spania, czyniąc przy tym płaczliwe refleksje.

Ojciec pozostawał zatroskany i zamyślony.

– Mój drogi – odezwała się do niego matka – może opuściłbyś szybę, zobacz, jak zaparowała. Tu jest bardzo gorąco. To może zaszkodzić naszej Annie. Wieczór nie jest zimny, otwórz okno.

– Już to robię, kochanie.

Ojciec opuścił szybę i zaraz świeże powietrze ożywiło atmosferę w powozie.

– Powinniśmy już dojeżdżać. Jesteśmy chyba na ulicy de l'Émerie, jest strasznie ciemno. Czyżby jej dziś wieczorem nie oświetlono? Gdzie my właściwie jesteśmy?

¹ *Bouffay* – stary beffroi (miejska wolno stojąca wieża strażnicza z dzwonem) wznoszący się nad dawnym więzieniem w historycznej dzielnicy Nantes; został zburzony w 1848, ale olbrzymi dzwon, który się w nim mieścił od XVII wieku, umieszczono na wieży kościoła Świętego Krzyża [przyp. J. Verne'a].



W marcu zimne i mgliste cienie bardzo szybko okrywały miasto
swoym lodowatym sklepieniem.

Wychylił głowę na zewnątrz i wołał:

– O Boże! Gdzie jesteśmy, woźnico?! Dorożkarzu, zatrzymaj się, nie jedź dalej! Ten nikczemnik chce nas porwać! Ratunku, na pomoc!

Dziewczyna obudziła się gwałtownie, krzycząc:

– Czy to on, czy to on? Och, puść mnie! Trzymaj mnie siłą.

Matka była na wpół żywa z przerażenia.

– Na pomoc, ratunku! – krzyczał ojciec – Zatrzymaj się, bandyto!

Otworzyło się kilka okien, dały się słyszeć ludzkie głosy, pojawiły się światła. Ze wszystkich domów zaczęły dobiegać okrzyki. Dorożkarz wreszcie się zatrzymał.

– Przepraszam, daruj dobrodzieju, nie usłyszałem dobrze nazwy ulicy. Tak, chodzi o ulicę de la Clavurerie, dobrze, tam was zawiozę. Rozstąpcie się, rozstąpcie! – krzyczał do kilku osób zwabionych hałasem.

Konie ruszyły szybszym krokiem i kilka minut później bez żadnych przeszkód, bez żadnych przeciwności losu dorożka znalazła się pod numerem dziewiętnastym na ulicy Clavurerie.

Ojciec wysadził dziewczynę, która znów omdlała, matka ledwie była w stanie się poruszać. Dorożkarz nie zszedł nawet ze swego kozła. Jakiś młody chłopak otworzył drzwiczki i opuścił schodki. Gdy tylko pasażerowie wysiedli, zanim ojciec przystąpił do płacenia i uraczenia stangreta solidną reprimendą, pojazd ruszył galopem. Chłopak wskoczył na tył powozu, a wkrótce słychać już było tylko odległy, słabnący turkot kół, który zatracał się i wygasał w uszach osłupiałego ze zdumienia ojca młodej Anny.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!